

Ulubieniec kobiet.

ROMANS Z ŻYCIA

przez

KAZIMIERZA KALINOWSKIEGO.

TOM I.



Wydawnictwo ALFREDA ZONERA
w Łodzi.

Дозволено цензурою Варшава 2 Мая 1900 г.

Wiosna była czarowna, jak każdego roku w maju. W przyrodzie budziło się życie, w sercach ludzkich miłość.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca skapały w złocie świeżą zieleni starych drzew Wysokiego Zamku, którego park lesisty górował nad miastem Lwowem.

Rozjęczały się słowiki; kukułki nawoływały się nawzajem; od pół Zniesienia dolatywały dzwonki skowronków rozmodlonych między ziemią a niebem.

Szepty ptasząt, zlewając się ze szmerem posrebrzanych rosą listków, tworzyły wspólnie cichą pieśń poranną, której tony niezmacone ludzkim gwarem płynęły swobodnie prze puste jeszcze aleje pięknego parku. Była to bowiem pora zbyt wczesna dla przechadzek miejskich śpiochów; brakło nawet jeszcze i najwcześniejszych gości Wysokiego Zamku—studentów, którzy za dobrą chwilę mieli cały ogród napęlić pomrukiem kutych na pamięć lekcji.

Tymczasem przyjemną aleją, wiodącą od wejścia z ulicy Teatyńskiej ku polance z kopcem Unii, przechadzał się samotnie młody mężczyzna.

Wyglądał stanowczo na człowieka przeszło trzydziesto-letniego, lubo liczył dopiero rok dwudziesty ósmy.

Dobrze zbudowany, średniej tuszy, należał do ludzi średniego wzrostu, jakkolwiek na pierwszy rzut oka wydawał się wysoki. Chodził niewymuszenie prosto, lekko, a nadzwyczaj poważnie i spokojnie. Na szerokim karku miał zgrabnie osadzoną głowę pro-

porcyonalnych rozmiarów, którą okalała bujna czupryna, jak hebanowe drzewo czarna, do góry czesana, dużą grzywą w tył rzucona. Od włosów o kruczym połysku odbijało matową białością wysokie czoło, pogodnie niby czerwcowy widnokrąg, mimo, że zeń nigdy nie znikwały gęste obłoki myśli. Wzdłuż czoła ciągnące się dwie niemal głębokie zmarszczki nie zakłócały bynajmniej niezmiernie łagodnego wyrazu twarzy; nie chmurzyły też nigdy tego pięknego czoła przerzynające je bruzdy między dwoma krzakami ciemnych brwi.

Z za firanek długich rzęsów patrzała na świat zawsze czule, tkliwie, jak gdyby w ekstazie istoty zakochanej — para oczu jasno-niebieskich. Na świat przychodząc, musiał mieć ten człowiek łaski szczególne u nieba, które oczom jego użyczyło własnej barwy, — tak zupełnie odbijały one w sobie błękit. Wszystkie kobiety, które go znały, od matki rodzonej do przelotnie zrobionej znajomości z ostatniego balu, powiedziały mu po tysiąc razy, że ma w oczach niebo — i mówiły prawdę.

Niemniej z prawdą się nie mijały — szepcać między sobą, że ma usta stworzone do pocałunków. Wargi namiętność zdradzające, mimo stale prawie melancholijnego wyrazu twarzy, nie zanadto grube, żywe, niby codzien karminem pociągane, rozchylały się lekko pod ładnym męskim wąsem.

Mleczno-biała cera całej twarzy i te zawsze różowe, jak u zdrowej dziewczyny piętnastoletniej, nigdy świeżości nie tracące policzki, sprawiały efekt niepospolity obok szerokiej i obficie na piersi spadającej brody czarnej — przedmiotu zawiści znanych mężczyzn. Nos prosty, duży, lecz odpowiednich rozmiarów, odchylając się od nieco wypukłego czoła, tworzył z niem profil prześliczny. W całej postaci wszystkie szczegóły harmonizowały z sobą.

Był to mężczyzna pod każdym względem piękny niepospolicie — jeden z tych wyjątkowych mężczyzn, jakich się codzien na ulicach nie spotyka, a za jakimi trzeba się mimowoli obejrzeć: jeden z tych mężczyzn,

o których nie tylko każda kobieta wyraża się z zachwytem, że jest pięknym, ale też i każdy mężczyzna przyznaje to po cichu i głośno, acz nie bez zazdrości.

Różne bywają losy takich pięknych ulubieńców kobiet.

Jednych kobiety od lat chłopięcych psują — aż popsuja, bawiąc się z nimi bez miary i bez końca...

Inni, przedzierzgnawszy się w lwów salonowych, sami bawią się kobietami całe życie bez krzty serca...

W jednych stał męskiego charakteru wyszczerbi się łatwo i rychło skruszy się — złamie...

U innych...

Nasz znajomy z Wysokiego Zamku, lubo piękny jak Apollo, a zarazem uwielbiany przez wszystkie Wenery, które go dotychczas znały osobiście i z widzenia — nie należał do lalek męskiego rodzaju; nie był bohaterem zwierciadlanych posadzek wszystkich sal balowych; nie był gagatkiem pluszem wykładanych budoarów...

Od ludzi nie stronił — a przecież od lat najwcześniejszych przenosił nad towarzystwo najprzyjemniejsze — samotność.

I dziś, jak codzień w porze wiosennej, był pierwszym gościem zamkowego ogrodu i przez długi czas jedynym w odludnej, chociaż najpowabniejszej alei. Przechadzał się powoli, tam i z powrotem, oddany własnym myślom, zapatrzonej w zieleni majową i zasłuchany całą duszą w czarującą muzykę przyrody, którą rozumiał inaczej, niż ci, co niebawem tłumnie mieli przyjść profanować to ustronie... On chodził tedy szczęśliwy, że nie spotkał jeszcze nikogo. Chodził cicho, że mogłoby się zdawać, iż nie chce ptakom i drzewom przeszkadzać w porannej modlitwie, iż sam bierze w niej udział wespół z całą przyrodą.

Zachowywał się, jak w kościele — takie wrażenie wywierał na niego poranek wiosenny, tak grała na jego duszy pieśń godziny świtania...

Szedł z głową odkrytą. W rękę trzymał czarny kapelusz miękki. Musiał lubić ten poważny kolor